

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 179.

№ 17. | Warszawa, 1 września 1906 r. | Rok VIII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.

IV-ta Warszawska Wystawa Psów.



Medal srebrny. Ram-Kujawja. p. Jan Wójcicki.

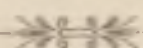
NA KURY!

Z powodu otwarcia polowania w Niemczech „Berliner Tageblatt“ daje myśliwym szereg rad następujących: Z wielu stron dochodzą wiadomości, że w chwili otwarcia polowania, kuropatwy wysiadują po raz drugi, wskutek czego trzeba będzie długo jeszcze czekać ze strzelaniem. W wielu jednak miejscowościach młode już należycie wyrosły. Widać też, jak rano, skoro świt, budzą się, najpierw kogut, następnie kura, a w końcu młode. Przenoszą się wtedy na suche miejsce bez rosy, gdzie stare zaczynają wabienie. Potem zwykle przenoszą się drugi raz na jakiebądź wzgórzyste, podwyższone miejsce, gdzie badają wiatr i pogodę, by, podług tej przepowiedni, obrać sobie legowisko na dzień bieżący. Podczas suszy przechodzą na łąki, lub na inne, chłodzące zarośla, jak rzepa, seradella, kukurydza. Gdy deszcz wisi w powietrzu, udają się na ścierniska, a w razie silnego wiatru kryją się w rowach, krzakach i t. d. Najłatwiej odszukać je można podług wabienia; głos odpowiadających na wabienie, młodych wskazuje zarazem myśliwemu, czy one są już dostatecznie wyrosłe i przez to odpowiednie do strzału. Jeżeli jednak chcemy mieć zupełną pewność co do tego, to wychodzimy na ścierniska podczas zachodu słońca przed polowaniem; zaraz po zachodzie stare prowadzą młode na żerowisko, gdzie można sprawdzić ich liczbę i obserwować je dokładnie; widząc, z której strony wychodzą, wiemy także, gdzie najlepiej tropić je psem nazajutrz.

Podczas ładnej pogody zaczynamy polowanie dopiero po lekkiem obeschnięciu rosy, mniej więcej około godziny 8-ej, o ile można w nielicznem towarzystwie. Jeżeli jest więcej jak trzech myśliwych, to najlepiej podzielić pole na części dla każdej grupy psów.

Podczas cichej, jasnej, słonecznej pogody udaje się polowanie zwykle najlepiej. Kury leżą wtedy w kartoflach, rzepie, seradelli, owsie. Jeżeli jednak zrana już jest upał, to stadko znajduje się zwykle na gęstych łąkach, głównie w pobliżu drzew wierzbowych. Dla skutecznego rozkładu ważną jest rzeczą obserwowanie, gdzie zapada stadko po zrywaniu się wskutek strzału. Dobrze jest mieć z sobą pomocnika, którego głównem zadaniem jest towarzyszenie strzelcowi z lewej strony i obserwowanie, gdzie zapada stadko po strzale. Przy obfitym zwierzostanie, gdy można prędko się spodziewać napotkania nowego stadka, lepiej jest zaniechać tego szukania postrzelonych narazie i uganiać się za nowem stadkiem. Oczywista rzecz, że nigdy nie należy strzelać do starki, ani do koguta, którego łatwo rozpoznać po kasztanowatej podkowie.

Najwłaściwszą porą polowania są godziny od 8-ej do 11-ej przed południem i od 3-ej po południu do opadania rosy. Podczas burzliwej pogody należy zaniechać polowania. Największego rozkładu spodziewać się można po deszczu, gdy w dodatku słońce zaświeci. Kury suszą się wtedy na ścierniskach i są widoczne. W trawie nie trzeba szukać po deszczu, bo ona najdłużej zostaje mokrą. Ubitych kur nie należy nigdy kłaść na kupę razem, bo się psują prędko. Najlepiej odsyłać do domu częściowo, w miarę ubicia, i tam układać je w cieniu na przewiewnem miejscu.



Przegląd krajowych ssaków łownych.

(Ciąg dalszy).

Królik (*Lepus cuniculus*). Do niedawna jeszcze w kraju naszym nieznany, bo o nim nawet wzmianki niema w „Przepisach o polowaniu w Królestwie Polskiem“ z 1871 r., stał się królik w ostatnich czasach przedmiotem licznych artykułów i dyskusyj w naszej, ubogiej zresztą, prasie łowieckiej, a liczne skargi, napływające z różnych okolic kraju na tego szkodnika, dowodzą, że czas pomyśleć na seryo o środkach, jeśli nie zapobiegających, to przynajmniej ograniczających jego dalsze rozprzestrzenianie się u nas.

Gdzie się znajdowała ongi kolebka tego zwierząt.

W taki to cichy, jesienny wieczór.

(Dokończenie).

To było tak piękne, tak dużo w scenie tej było ognia i siły, że zapomniałem, po co przyszedłem, dlaczego przyniosłem sztucer, który ścisnąłem w tej chwili w ręku, aż trzeszczały mi palce. Zobaczyć chciałem wprzódy potyczkę, a potem, co będzie, to będzie. Zresztą mogłem strzelać sto razy, bo nie dalej, jak o dwadzieścia kroków, byk kręcił się przedemną na wszystkie strony i nastawiał komorę, jakby prosząc o kulę.

Dyabeł, towarzyszący mi nieodstępnie w polowaniach na jelenia, nie zapomniał o mnie i tym razem. Nagle, bez żadnej, widocznej przyczyny, byk, podchodzący do stada, uciął i przestał ryczeć. Dwunastak zdziwiony umknął także i począł nasłuchywać. Wyzywająco wyszedł naprzeciw i ryknął jeszcze parę razy, ale wyzwanie pozostało bez odpowiedzi, przeciwnik kapitulował. Poczułem, że zajść tam musiało coś, z czego nic umiałem sobie zdać sprawy, bo i przedemną w stadzie wszczął się niepokój. Łanie ruszyły niespokojnie, i nastawiając łyżki, poczęły kupić się dokoła byka, węsząc niespokojnie w stronę lasu.

Potem, zanim zrozumiałem co się święci, zanim czas miałem opamiętać się, stado, jak wicher, ruszyło z kopyta, i migając między drzewami, zniknęło w lesie. Słyszałem łomot i trzask łamanych gałęzi, potem przez chwilę tentent, aż ucichło wszystko i znów powrócił głęboki, wieczorny spokój i cisza.

A stało się to tak nagle, tak niespodzianie, że doznałem wrażenia przebudzenia i przecierałem oczy, niepewien, czy to, na co patrzyłem przed chwilą, było rzeczywistością, czy mamidłem tylko, nasłanem na mnie przez leśne bóstwa!

Co się stało, co to miało znaczyć? —powtarzałem sobie bezmyślnie.

Niedługo zresztą czekałem na wyjaśnienie. Idąc brzegiem jeziora, właśnie od strony, w której ryczał przychodni jeleń, ukazało się dwóch drwali z siekierami na ramieniu.

— A co za ludzie, kto to, jakich sto dyabłów nosi was tu po nocy... krrrew!?

— My z B...owa, wielmożny panie, pieńki kopalim.

— Lelinie widzielim, na Stare Budy poszły — objaśnił mnie drugi uprzejmie, chcąc zadokumentować, że rozumie w czem rzecz.

— A bodaj was...! — życzyłem im w duchu.

Ale, na szczęście, święty Hubert nie zwykł słuchać przekleństw, miotanych w gniewie, i drwale

ka, pozostanie zapewne tajemnicą na zawsze. Zdaje się, że Grecy nie znali królika, bo o nim nie wspomina ani Ksenofont, ani Arystoteles. Według historyków rzymskich, ojczyzną królików miała być Hiszpania, chociaż niektórzy z nich utrzymywali, że przedostał on się tam z północnej Afryki. W każdym razie już za czasów rzymskich królik tak się rozmnożył w Hiszpanii, oraz na wyspach Balearskich, a szczególniej na Minorce, że mieszkańcy prosili cesarza Augusta, aby nadesłał żołnierzy do tępienia królików, które wszystkie ich plony niszczyły. Powoli niezwykle płodne i żywotne zwierzątko przedostawało się do krajów ościennych, a posuwając się wraz z kulturą, zajmowało stopniowo Francyę, Belgię, Niemcy i Austryę. Jeszcze lat temu dwadzieścia pięć słychać o nim nie było w Królestwie Polskiem, a tylko z Księstwa Poznańskiego nadchodziły wieści, że się tam króliki mnożyć zaczynają. Przyszła też kolej i na nas. Pojawienie się u nas królików nastąpiło mniej więcej przed 15-tu laty dwiema drogami: jedną naturalną, przez stopniowe posuwanie się zwierzątka z sąsiedniego Ks. Poznańskiego, a drugą sztuczną — przez interwencyę człowieka. Na pierwszy ogień poszły zachodnie okolice gub. kaliskiej, dokąd królik, nieuznający widocznie granic politycznych, przedostał się z sąsiednich majątków Ks. Poznańskiego, a jednocześnie zaczęły się te zwierzątka mnożyć w południowych częściach gub. piotrkowskiej, sprowadzone tam nieoględnie przez niektórych właścicieli ziemskich, pragnących urozmaicić swe zwierzostany, a nie przewidujących, że z czasem klęskę nietylko na siebie, ale i na ościenne majątki sprowadzą. Jednocześnie rozpuszczono króliki w jednym z największych majątków gub. warszawskiej, oraz w Galicyi i na Wołyniu. Są to rozsadniki, które wystarczą, aby w ciągu lat kilkudziesięciu zasiedlić kraj nasz temi szkodnikami.

Zwykle w ciągu pierwszych paru lat po sprowadzeniu, króliki w kraju naszym nie prosperują, nie widać żadnego przyrostu, a niekiedy nawet zdaćby się mogło, że zupełnie wyginęły. Odbywa się wtedy widocznie między niemi dobór naturalny, rodzaj aklimatyzacyi, która po trzech lub czterech latach uskutecznia się w zupełności i wtedy następuje już szybki przyrost, zagrażający od razu całości kultur leśnych i plonom pól naszych. Nie pomagają już wtedy żadne środki, ku tępieniu szkodników dążące. Jak choroba, której w samym zaczątku nie opanowano, zajmuje organizm i trapi go aż do zupełnego wyniszczenia, tak i te małe, wątłe na pozór stworzonka, gdy ich się w samem zaraniu ich egzystencyi w danej okolicy nie wytępi, opanowują coraz to większe przestrzenie, urągając wszelkim środkom zapobiegawczym. Wtedy możemy już tylko przedsiębrać sposoby, mające na celu ograniczenie ich zbytniego rozmnażania się w danej okolicy, lecz wytępić ich nie zdołamy. Służyć to powinno za przestrogę dla tych wszystkich, którzy, nie znając krzywdy, jaką krajowemu rolnictwu i leśnictwu przynoszą, starają się u siebie zaprowadzić króliki jedynie w celach przysporzenia łowiectwu jednego gatunku zwierzyny więcej.

Mówiłem już o tem niejednokrotnie, lecz powtarzam jeszcze, gdyż niedawno zgłaszał się do naszej Redakcyi pewien myśliwy-hodowca z zapytaniem, gdzieby można nabyć żywe króliki dla rozmnożenia; widocznem więc jest, że nie wszyscy jeszcze są powiadomieni, jak wielkie szkody króliki wyrządzać mogą.

Królik w dzikim stanie jest znacznie mniejszy od zająca. Długość jego wynosi 44 ctm., z czego na omyk wypada około 8 ctm. Waga królika waha się między $2\frac{1}{2}$ a 4-a funtami. Niema też tak znacznej różnicy w proporcyi zadnich nóg do przednich. Turzyca królika jest znacznie krótsza, aniżeli zajęcza, i barwy na ogół bardzo popielatej. Kolor oka jest bardzo ciemno-brunatny, prawie czarny.

Zwierzątko to jest bardziej ruchliwe, bardziej wytrzymałe i płodne, aniżeli zając, i dlatego, gdzie się raz zagnieździ, tam obejmuje w swoje panowanie całą okolicę, a zając, rad nie rad, musi przed nim ustępować. Gdzie się też króliki rozmnożą, niema dużo zajęcy. A mnożą się te zwierzątka w sposób zastraszający. Samica nosi przez dni trzydzieści lub trzydzieści jeden, a wkrótce, po wykarmieniu młodych, już na nowo gotowe są do rozpłodu. Młode z kolei po czterech miesiącach życia już się mogą rozmnażać. A że każden miot królika wynosi od 4 do 8 młodych, z tego można sobie wystawić, jak szybki przyrost bywa w stanie tych zwierzątek. Pewien autor francuski, p. Lage de Chaillou, wyliczył, że gdyby króliki nie podlegały żadnym chorobom i rozmnożeniu ich ani drapieżnik, ani człowiek przeszkód nie stawiał, to z jednej pary po czterech latach wychowałoby się 1,274,840 sztuk!

---

zdrowo zapewne wrócili do wsi, ani się domyślając, jaką mi wyrządzili krzywdę i czego im za to życzyłem.

Nie było co robić, partya na dzisiaj była przegraną. Dyabli wzięli! powiedziałem sobie, i przywołując na pomoc cały zapas filozofii, na jaką stać mnie było w tej chwili, zabrałem manatki i wylazłem z pod krzaka, pod którym leżałem. Czekać musiałem na Mikołaja, który miał przyjść albo na strzał, albo z nastaniem ciemności.

— Oj, będzie stary zły! — myślałem, obiecując sobie solennie nie przyznawać się, że jelenia miałem na strzał, nie strzelałem, niewiadomo dlaczego, przez poczyę. I tak nie zrozumiałby mnie, gdybym powiedział prawdę.

Już przez pół pogodzony z losem, rozmyślając, co skłamać mam leśnikowi, zasiadłem na pieńku i zapaliłem papierosa. Scena z jeleniami przeciągnąć się musiała długo, bo pociemniało tymczasem na świecie i wieczór zapadł zupełny. Przedemną jezioro leżało martwe już, jak ołowiane, bez blasku i bez fali. Na przeciwległym brzegu szara mgła zakryła wieś i drzewa. Tylko niebo zostało czyste, bez chmur, a w jego ciemnym, głębokim błękicie zapalały się gwiazdy, coraz to nowe, coraz jaśniejsze. Z przestworzy coraz dalsze światy, coraz liczniejsze spoglądały ku ziemi, migocąc, jak światełka.

Na zachodzie czerwono paliły się zorze, a las stał niemy, jeszcze więcej tajemniczy, ponury, jak czarna ściana. Ciemno było w lesie i cicho; miesiąc nie wszedł jeszcze. Z zamyślenia obudził mnie głos leśnika:

— A co paniczku, nie były?

— Były, mój Mikołaju, ale późno wyszły, ciemno już było strzelać.

Noc była, na szczęście, stary nie widział wstydu, jaki miałem na twarzy. Kwaśny, milczący przewiesił mój sztucer przez ramlę i ruszyliśmy z powrotem do linii, na której czekać miały konie. Ale dzień był feralny jakiś, nieszczęśliwy, bo i tu spotkać nas miał zawód. Czy to przez pomyłkę, czy przez nieporozumienie koni nie było. Poszły do innego rewiru, gdzie czekały napróżno do północy. Nam zaś, o ile nie chcieliśmy nocować w lesie, nie pozostało nic innego, jak wracać pieszo, a do domu było daleko.

Piały pierwsze kury i miesiąc był wysoko, kiedy wyszliśmy z lasów. Leśnika odprowadziłem spać, bo do wsi droga była, jak strzelił, niemylna.

. . . .

Noc przyszła, jak w czerwcu, na Święty Jan, miesięczna, ciepła i okryła strudzoną ziemię. W białem, martwem świetle pełni, wieś leżała cicha, śpiąca. Piasek na drodze, zapłocia, wierzby nad stawem i nowe poszycia na dachach świeciły, jak wysrebrzone. Po znojnym dniu świat spał głęboko, we wsi zamilkły nawet psy.

W ruchach swych królik bardzo się różni od zająca: jest odeń znacznie gwałtowniejszy i w stosunku do swej wielkości—szybszy. Swemi, krótkiemi względnie, łapkami zbiera tak chyżo, że szybkość, z jaką biegnie, jest wprost zdumiewająca. Przywykły w gąszczach zmieniać swój kierunek nieraz nawet kilka razy na sekundę, gdy się wydostanie na otwarte miejsce, kilkunastu kroków w prostej linii przebiedz nie może, lecz ciągle pędzi zygzakami, co oczywiście strzał do niego—szczególniej na sztych lub do tyłu—bardzo utrudnia.

Zdumiewającą też jest zdolność jego zatrzymania się w szybszym biegu na miejscu i momentalnego zwrócenia w przeciwnym kierunku. A że ma wzrok bardzo dobry, dużo lepszy od zająca, więc często za kpi sobie z myśliwego, który nań czeka w pogotowiu na linii.

Mądry jest też niezwykle na nagankach lub przed pieskami gończemi (bassetami); umie tak przywarować, że go najgęstsza naganka ominie, lub psy się nad nim uniosą, a on, albo spokojnie na miejscu zostanie, albo szybko w tył umknie. Zwykle też na nagankach nawet połowa ich na linię nie wychodzi. Bardzo wiele z nich idzie przed naganką chyłkiem, zatrzymując się często i nasłuchując, a gdy do linii zbliży się, nagłym rzutem, jak bomba, wypada i zanim myśliwy złożyć się zdąży, niknie w gąszczu z przeciwnej strony. To też strzał do królików w większości wypadków do bardzo trudnych należy.

Wiele już mówiono i pisano o szkodliwości królika zarówno dla polnych, jak i dla leśnych gospodarstw. I w samej rzeczy królik jest niesłychanie szkodliwy nietylko tem, że bezpośrednio niszczy plony, zjadając czy to płody rolne, czy też obgryzając młode drzewka z kory, ale także przez pośrednie zdeptanie i świdrowanie swemi norami terenu, który przez to staje się nieużytecznym do rozrostu. Tam, gdzie króliki gniazda swoje założą—a obejmują one nieraz znaczne przestrzenie ziemi — grunt jest tak zbity, tak wydeptany i tak bobkami kału pokryty, że nawet nędzna trawa na nim rosnąć nie chce.

Szkodliwość królika zaznaczają też prawodawstwa wszystkich tych krajów, gdzie tylko zwierzątka te od dłuższego czasu zamieszkują. Najsurowsze jednak prawa, skierowane przeciw królikom, spotykamy w Belgii. W kraju tym, nietylko, że króliki wolno jest tępić rok cały, ale nadto specyalny artykuł prawa pozwala na urządzenie polowań, t. zw. administracyjnych w tych posiadłościach ziemskich, których właściciele sami przez się nie przedsiębiorą środków, zmierzających ku tępieniu tego szkodnika: a nadto przy oszacowaniu szkód, zrządzonych przez króliki, jako karę, oznacza się wysokość odszkodowania w dwójnasób większą od rzeczywistej. Są to warunki tak uciążliwe, że chyba żadnemu z posiadaczy polowań nie przychodzi chęć hodowania królików, jako zwierzyny myśliwskiej. Sam jeden wzgląd, że królik, którego wartość wynosi 1 franka, robi rocznie na 20 franków szkód, wystarczy chyba, aby wypowiedzieć wojnę eksterminacyjną tym małym szkodnikom.

Różne są sposoby tępienia królików, a mianowicie: żelazami, przy pomocy psów gończych (bassetów), z psem legawym na pomyka, nagankami, sposobem, zwanym po francusku „ferme de lapins“ — który opisałem w „Łowcu Polskim“. Wszelako jednym z najradykalniejszych, a może najskuteczniejszym sposobem, jest tępienie królików przy pomocy tchórków, czyli „furetów“ (*Putorius furio*), specyalnie w tym celu hodowanych zwierzątek. Parę tych tchórków przywiozłem dwa lata temu dla p. Aleksandra Szwedego, dzierżawiącego podówczas polowanie w Nieborowie. P. Szwede podarował furety miejscowemu strzelcowi, który od czasu do czasu rozprzedaje drogą ogłoszeń cały przychówek. Tym sposobem tchórki zaczynają się u nas rozpowszechniać i prawdopodobnie w krótkim czasie niejeden majątek, zagrożony plagą królików, przy ich pomocy będzie w stanie przedsięwziąć radykalne tępienie. Aby tego dopiąć, trzeba wiedzieć, jak należy z furetami polować, a dlatego załączam poniżej sposób polowania według wspomnianego powyżej autora, pana Lage de Chaillou.

„Ażeby zapolować z dobrym skutkiem przy pomocy tchórków, należy wybrać taką pogodę, przy której króliki w jaknajwiększej liczbie przesiadują w norach; można też przegonić okoliczne gąszcze przy pomocy psów gończych, które zmuszają króliki do chowania się w norach. Zanim puścimy fureta do nory, należy się przekonać, czy jest ona uczęszczana przez króliki, a o tem zaświadczy nam brak suchych liści u wejścia, ubita ziemia przy wylotach, świeże bobki, rozrzucone w sąsiedztwie, a wreszcie odciski łapek na ziemi. Należy zbliżać się do nor ostrożnie, mówić tylko po cichu i wogóle robić jaknajmniej hałasu, gdyż zwierzątka, uprzedzone naszemi krokami o niebezpieczeństwie, mogą się stać twardemi do wyparowania z nory. Jeśli polujemy z siatkami, należy rozpostrzeć po jednej takiej siatce [1]) u każdego wylotu, przywiązując sznurek siatki do krzaka, lub w braku tegoż — do kołka, mocno wbitego w ziemię. Jeśli nie mamy dostatecznej ilości siatek, aby niemi opatrzeć wszystkie wyloty nory, to należy dziury najmniej uczęszczane pozatykać ziemią, lub pękami trawy i liści. Gdy te przygotowania są już skończone, należy puścić fureta do nory. Jeśli tchórek jest bardzo złośliwy, to należy mu nałożyć kaganiec, zanim się go zwolni. Operacya ta odbywa się przy pomocy sznureczka bardzo miękkiego, który umieszczamy po za kłami szczęki dolnej, a następnie związujemy go pod tą szczęką, poczem oba końce przeciągamy ponad szczęką górną, ściągamy dość mocno i opasujemy niemi szyję, na której tworzy rodzaj obroży. Sposób ten ma jednak pewne braki, a mianowicie zmniejsza on zapał zwierzątka; zdarza się też niekiedy, że sznurek zaczepia się o jaki korzeń podziemny, pociągając za sobą uduszenie fureta. Według nas, lepiej jest obciąć przy pomocy cążków wszystkie cztery kły przy samej nasadzie dziąseł.

„Bardzo często przy polowaniu z tchórkiem myśliwi strzelają króliki w chwili, gdy te wynoszą się

[1]) Model takiej siatki, przywiezionej przezemnie z Francyi, znajduje się w Nieborowie.

Jan Sztolcman.

Tylko echem odbijał się odgłos mych kroków, tylko koń parskał w chłopskiej stajence, albo, dzwoniąc łańcuchem, targnęła się krowa u żłobu. Jak wiosną, zwiedzione ciepłem, w kamieniach przy drodze grały świerszcze.

W promieniach miesiąca, z dalekich, lepszych światów zapomnienia na ziemię, na skrzydłach snu płynęło ukojenie i było go dużo w tę słodką, gwiaździstą noc.

Jelenia zabiłem nazajutrz. Dzień był posępny, chmurny, pod wieczór mżył deszcz.

W. J.



z nory. I w tym razie należy zachować wszelkie ostrożności, aby królików nie popłoszyć. Myśliwy lub myśliwi lokują się przy wylotach nor, plecami do nich i w ten sposób, aby mieli przed sobą jaknajwiększą przestrzeń. W chwilę po wypuszczeniu fureta słychać pod ziemią jakiś głuchy odgłos. To króliki przestraszone, uderzają tylnemi nóżkami o ziemię. Wkrótce potem słychać, jak króliki, niepokojone przez nieprzyjaciela, biegają wewnątrz nory; zwiastuje to zwykle szybkie pojawienie się królika u wylotu; i w samej rzeczy nieszczęśliwa ofiara pod wpływem przestrachu i ukąszeń fureta, wypada z nory, jak kula: strzał do niego jest wtedy bardzo trudny, gdyż przy znacznej szybkości, królik pędzi zygzakami, podobnie jak i przy polowaniu na pomyka".

Dodam jeszcze od siebie, że ten rodzaj polowania z furetem należy do bardzo przyjemnych, a zarazem jest doskonałą szkołą strzelania.

Królik, przy całej swej szkodliwości, daje wszelako człowiekowi wielorakie korzyści. Mięso jego, jakkolwiek znacznie gorsze od zajęczego, jest niemniej wcale smaczne, a przytem bardzo tanie, więc też chętnie widzianem bywa na stołach biedniejszej ludności Europy zachodniej. Turzyca królika ma bardzo obszerne zastosowanie przy fabrykacyi kapeluszy filcowych, a w ostatnich czasach futro królicze zużywane bywa do podrabiania najrozmaitszych bobrów, seelskinów i t. p., wskutek czego cena jego w ostatnich czasach poszła znacznie w górę.

Jan Sztolcman.

(C. d. n.)

Z dziedziny broni.

Nowy pocisk „S." W Niemczech zaprowadzono dla użytku broni wojskowej nowy pocisk, który przydać się może także do celów myśliwskich. Postanowienie zapadło po dokonaniu prób licznych. Rozstrzygającym był wzgląd, że z powodu marnowania nabojów przy broni repetyerowej żołnierz nigdy nie może ich mieć dosyć przy sobie, oraz, że mniejsza waga pojedyńczego naboju pozwoli mu na dźwiganie większej ilości. Pocisk S. (model 98, kal. 8 mm), który wygląda jak niezgrabnie zatemperowany koniec ołówka i jest gruby, jak ołówek rysunkowy, - waży tylko przeszło 10 gramów, podczas gdy dawniej używany pocisk ważył 14,7 grama. To zmniejszenie ciężaru pozwala żołnierzowi zabrać zapas naboi, większy o jedną trzecią. Szybkość początkowa zwiększyła się przytem o 240 m., dawniej bowiem wynosiła 620 m., a teraz—860 m. Maximum siły penetracyi (przebicia) osiąga w oddaleniu 400 metrów od wylotu, gdyż przebija tu 0,80 m. drzewa sosnowego. Nawet na 1.800 m. przebija jeszcze 10 cm. drzewa sosnowego. Siła przelotu pocisku jest przytem tak szalona, że na równinie w prostym kierunku aż do 600 m. dosięga wzrostu męzkiego, przez co omyłki w ocenie dystansu dla zwykłej odległości strzału są bardzo nieznaczne. Siła nośna naboi przy strzale ewolucyjnym dosięga do 4,000 m., przyczem pocisk przenika kątem o 60 stopniach. Kula S. jest chyba obecnie najbardziej dalekonośnym pociskiem wojskowej broni ręcznej.

Karabiny automatyczne. W kołach wojskowych rozmaitych mocarstw obecnie żywo rozpatrują sprawę zaprowadzenia karabinów automatycznych, któreby się różniły od dotychczasowych repetyerowych tem, że broń sama po strzale wyrzucałaby próżną łuskę i naciągałaby sprężynę kurka do strzału następnego, podobnie jak to jest przy t. zw. brauningach. Francya ma już gotowy i dokładnie wypróbowany w „*Ecole normale de tir*" model karabinu automatycznego i wydano już zarządzenia, aby fabryka w Saint-Etienne rozpoczęła bezzwłocznie fabrykacyę takich karabinów wedle modelu z r. 1906. Niemcy ze swej strony prowadzą próby z karabinem automatycznym systemu Fidyelanda, zaprowadzonym przez firmę Grotsteck. Kaliber wynosiłby 6.5 m., lufa miałaby długości 65 cm. 5 mm., a cały karabin ważyłby 4 kilogramy 13 gr. bez bagneta. Długość całości przedstawiałaby 1 m. 15 cm. Karabiny te są do nabijania magazynami po 6 naboi, a szybkość początkowa wyrzuconej przez nie kuli, wynosi 667 metrów na sekundę. Mechanizm jest bardzo prosty, a żołnierz mógłby z nowego karabinu dać bez trudu 60 strzałów na minutę. Nakoniec we Włoszech major Cei Bigotti wynalazł i wydoskonalił własnego pomysłu karabin automatyczny dwóch typów: nabijający się magazynem o 6 nabojach i drugi o 25 nabojach. Przez użycie uderzenia wstecznego, jak przy mitraliezie Hotschkissa, mechanizm wyrzuca zużyte łuski i nabija lufę karabina, tak, że żołnierz może strzelać bez przerwy, nie odejmując karabina od ramienia aż do zupełnego wyczerpania magazynu. Liczba strzałów na minutę, dawanych z nowego karabina, jest bardzo znaczna i wynosi więcej, niż 50. Model o sześciostrzałowym magazynie jest przeznaczony dla zwykłej piechoty, typ drugi jest już raczej karabinem maszynowym i mógłby służyć specyalnym oddziałom od zasadzek i do obrony pozycyj wybranych.

W PÓŁNOCNEJ PERSYI.

(Dokończenie).

Za autem znów dziki step, gdzieniegdzie bragakantem, cierniem i piołunem pokryty; pomknie czasem suseł, zasyczy żmija, przebiegnie sójka ziemna, niekiedy z hałasem porwie się bystrych kur stadko, lub pstrych jarząbków. Dwa czy trzy razy pokazały się nam u podnóża gór znaczne tabuny dżejranów, ale tylko widokiem ich napawać się mogłem.

Nie pomnę już, na jakim etapie przyłączył się do mnie pielgrzym, kaleka, dążący w jedną ku Meszedowi z nami stronę. Był to weteran wojsk tureckich, któremu w 1877 roku za przewinienie dyscyplinarne kazano odciąć prawą rękę, a w lewej trzy palce, dwa do modlitwy potrzebne, pozostawiając. Jako dobrze tę krainę znający, w dalszej drodze oddał mi ów biedak pewne przysługi, tem więcej, iż z najętym w Nardynie przewodnikiem rozstać się musiałem, a mój Kafer, który po ślubie swego kamrata cokolwiek się poprawił, znów zapadł w senne lenistwo i jeszcze większą niechlujność.

Już drugi dzień idziemy, nie napotykając ni studni, ni kałuży, ni żywej duszy. Zapasy wody na wyczerpaniu, spiekota dokucza nam straszliwie, a i jeść niewiele co mamy. Ale mój pielgrzym dodaje mi otuchy, obiecując wkrótce oazę, co też i wkrótce się sprawdza. Przeszedłszy jeszcze kilkanaście kilometrów, z pagórka ujrzałem wijącą się, modrą, wązką taśmę wyciekającej z gór rzeczki, Karysy, a po obu jej tronach malownicze, białe sekle Kurdów, tonące wśród żywej zieleni pięknych sadów i urodzajnych pól zbożowych. Nie pomnę, bym kiedyś milszego doznał wrażenia nad widok tej pięknej osady wśród tych żółtych, spiekłych i popękanych piachów. Miękki klimat, czystość osad, cudowne sady, pełne dojrzałych owoców, nęcą nas i zachęcają do dłuższego tu pobytu. Mój Kafer porzuca nas, przeskakuje ogrodzenia i młóci soczyste owoce z drzew swą długą laską, napycha kieszenie, czapkę, a gębę przedewszystkiem soczystemi śliwkami, przezroczystem winogronem,

a i my czynimy nielepiej i o poszanowaniu cudzej własności ani pomnimy.

Robiąc częste z Firinze wycieczki w niedalekie góry, razu pewnego spotkałem blizko aulu leżącą, jakąś wielką gadzinę na mej ścieżce. Na mój widok podniosła głowę i do połowy swej wielkości uniosła się, a nadąwszy wielki swój grzbiet, z rozwartą paszczą i wysuniętym językiem, sycząc, wpatrywała się, i mimo rzuconych kamyczków, z drogi ustąpić nie chciała. Była gotowa do ataku, do którego ja zaś chęci zupełnie nie miałem; wolałem posłać jej ładunek cienkiego śrótu, co jej żywot szkodliwy przeciął.

Był to ogromny okularnik, niemający jednakże obwódek około oczu, czego zresztą i jego indyjski krewniak nierzadko jest pozbawiony [1]. Podobno masa tych gadów w tej okolicy się plodzi i wiele ofiar pada od ich jadowitego ukąszenia corocznie. Śmiałość tego gatunku żmij jest zadziwiająca, nietylko bowiem gad ten nie unika człowieka, lecz spotkanego nigdy nie mija, często sam go atakując.

Po kilkudniowym wypoczynku i zażyciu miłej gościnności Kurdów, tego pięknego, o ślicznych kształtach i rycerskiej postawie plemienia, maszerujemy dalej na północ i po dwóch przemarszach dosięgam pierwszego, w Persyi spotykanego miasta Budżnurtu. Gród ten to wielki auł: te same, gliniane, o okrągłych dachach, lepianki, zbite w masę, z krętemi uliczkami i cuchnącemi zakątkami. Wyróżnia się on jedynie od innych osad swą wielkością, karawansarajem, świątynią i pałacem chana. Lokuję się w karawansaraju. To hotel perski, plac, wysoką ścianą glinianą otoczony, z licznemi w niej framugami, za gościnne pokoje dla podróżnych służącemi. Rozłożywszy swe pakunki i zwierzęta obok, włażę do owej framugi, a za mną Kafer. Zasypiam, lecz czuję, jak rój nieproszonych a ciętych stworzonek zewsząd atakować me biedne ciało zaczyna. Nie dość na tem: mój Kafer tak dziś chrapie, jak dotąd nigdy, w gardle gotuje mu się, jak w kotle, bulkocze, syczy, a jego ogromny, farsyjski nos świszcze, jak klapa parowozu. Nie mogłem doczekać się rana i zmęczony, rozbity i znękany, jeszcze po ciemku w dalszą uciekam drogę. Niech dyabli biorą owe perskie miasta z ich hotelami; już drugi dziś dzień od opuszczenia Budżnuruta, a coś łazi mi po całem ciele i sprawia nielitościwe swędzenie.

Witaj miły Atreku, stary mój znajomy! Lecz jaki on tu marny, ani podobny do tego, jakiego widziałem pod Czigislarem. Po klawiszowym moście, z suchych skleconym chrustów, przedostaję się na prawy brzeg i wstępuję na ostatnie, perskie wyżyny, zkąd już odsłania się przedemną widok na piaszczysty, równy, jak morze, step Turkiestański i blizkie posiadłości rosyjskie. Jeszcze dzień marszu i staję na granicy, przed posterunkiem garnizonu pogranicznych kozaków. Lecz jakie mnie tu niespodziewane czeka przyjęcie! Ani domyśli się łaskawy czytelnik. Przeszedłem w obecnej mej wyprawie setki, a raczej tysiące wiorst krajem dzikim, zamieszkanym również przez dzikie, drapieżne plemiona, i włos z głowy mi nie spadł, a tu doznałem okrutnego przyjęcia. Pan naczelnik oddziału, nie pytając się o nic i nie dawszy mi przyjść do słowa, aresztuje mnie bez pardonu i pod ostrym konwojem kozaków odsyła związanego niezwłocznie do Aschabadu, o sto wiorst ztąd odległego. Niemniej srodzy od swego „naczalstwa“ żołdacy, bez litości pędzą mnie i Kaferka-biedaka na naszych znękanych szkapach noc i następny dzień cały, dawszy zaledwie na obiad wypocząć na gołej ziemi. Stawiono mnie wreszcie przed srogie oblicze aschabadzkiego „wyższego naczalstwa“, które, uznawszy mnie za szpiega angielskiego, mając na to tak wymowne dowody w mej broni, ubraniu, preparatorskich narzędziach angielskiego pochodzenia, zasadziło mnie do ciupy, zkąd po długich staraniach za pomocą oczekujących mnie na tutejszej poczcie, polecających listów z Petersburga do głównego naczelnika ówczesnego tego kraju, p. Kaufmana, zdołałem się wyswobodzić. Domyśla się zapewne łaskawy czytelnik, z jakim pośpiechem ztąd się wyniosłem i już nie oglądając się po za siebie, pomknąłem ku domowi.

Wł. Czerniejewski.

[1]) Właściwie indyjski okularnik nie posiada obwódek wkoło oczu, lecz na rozszerzonej szyi — rysunek, przypominający okulary. (*Przyp. Red.*).

W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE 1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre.

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

(*Ciąg dalszy*).

27 sierpnia. Rano spokój. O godzinie 10-ej idziemy do p. Archera; ponieważ zajęty jest właśnie karawaną Kikujów, więc w oczekiwaniu przerzucamy dzieło jego wuja, Jacksona. P. Archer robi nam plan kampanii na wschodniej stronie Baringo, poczem wracamy do obozu, aby potem znów wrócić do niego na śniadanie, na które są także zaproszeni pp. Bradley i Turner. Śniadanie jest doskonałe: znakomity chleb, świeże masło i wyborne kartofle. P. Bradley mówi nam o swych projektach spędzenia trzech tygodni w „Loroghi“, gdzie ma nadzieję strzelać słonie. Niewątpliwie spotka się je tam, - mówi do nas z takiem samem przekonaniem, jak o wszystkiem, co dotyczy tego przedmiotu. Tymczasem p. Archer opowiada nam, że pewien angielski pułkownik uwierzył opowiadaniom, iż stado słoni, złożone z 800 sztuk, przebywa stale w Lorian Swamp, w kraju Rendili. Udał się tam, lecz powrócił, nie widząc nawet ogona słoniego, straciwszy przytem czterech tragarzy, którzy zmarli z pragnienia w kraju, gdzie Guaso-Narok płynie pod ziemią. Pan M. de R. spędził trzy tygodnie na tym posterunku i nie doszedł nawet, jak się zdaje, ani razu do jeziora, ale za to opowiadał dużo o pozwoleniu, jakie dostał na zabicie pięciu „okapi“ [1]) w lasach Congo.

P. Archer pokazuje nam bardzo piękne fotografie, zdjęte u Turkanów. Robi on ciągle inspekcye po swoim dystrykcie. Daje mu to sposobność pokazania nader ciekawego potrzasku, używanego przez miejscową ludność. W czasie ostatniej swej inspekcyi skonfiskował on 300 sztuk takich łapek, które z wielką pompą kazał spalić wobec przerażonej ludności. Model, który nam pokazał, był obliczony na wielkość strusia: istnieją jednak łapki na słonie.

Po południu p. Archer prowadzi nas do pewnego Araba, który ma w posiadaniu dwa wspaniałe kły słoniowe, ważące 100 i 126 funtów. Na nieszczęście inny kieł, stanowiący parę od tego ostatniego, a który ważył 138 funtów, został już wysłany na Pomorze. Guy, wracając do posterunku, zachodzi do obozu p. Bradley'a, gdzie zajmowano się właśnie leczeniem chorej mulicy, pakując jej w gardło cały flakon terpentyny, gdyż, jak mówi p. Bradley, choroby te po

[1]) Okapi (*Okapia johnstoni*), niezmiernie ciekawy gatunek zwierzęcia, pośredni między antylopami a żyrafą, a zamieszkujący środkową Afrykę. Daliśmy w swoim czasie jego podobiznę i opis. (*Przyp. tłom.*)

wtarzają się za często, aby dawać za każdym razem butelkę whisky, chociaż to jest niezaprzeczenie najlepsze lekarstwo. Jegomość ten trzyma muły pod namiotem.

P. Archer, który widział moje ptaki, utrzymuje, że najtrudniejsze do spreparowania są ptaki z Djabine.

28 sierpnia. Wyjazd o godz. 8-ej rano po omówieniu warunków z przewodnikiem N'Dorobo, które, według p. Archera, są takie same, jak warunki, przyjęte przez majora Powell Cottona.

Po trzygodzinnym marszu po drodze skalistej i falowatej, dostajemy się nad brzeg jeziora. Widzimy przed sobą sześć samic antylopy Kudu *(Strepsiceros kudu)*, pięć czy sześć dropi, antylopy Granta i mnóstwo najrozmaitszych gatunków ptactwa wodnego. Guy zabija trzy pentarki na rosół. Po śniadaniu robimy partyę bridge'a, a kolo 5-ej wyruszamy na przechadzkę, wzdłuż brzegu jeziora. Guy zabija koba o pięć minut drogi od obozu, a nieco dalej — antylopę Granta. Tę ostatnią zdobycz umieszczamy na drzewie, jako przynętę, na takiej wysokości, aby jej hyeny nie ściągnęły, a jednak mógł ją dostać lew, wspięty na tylnych łapach.

Podczas obiadu przyglądamy się wspaniałej burzy z drugiej strony jeziora.

29 sierpnia. Guy, usłyszawszy dwa lwy, ryczące prawie bez ustanku między drugą a czwartą w nocy, wyrusza o godz. 5-ej, aby sprawdzić, co się dzieje z zanętą, którą jednak znajduje nieruszoną. Zabija phacochera i rani m'palaha, który oddziela się od stada, jak to zresztą czynią wszystkie antylopy ranione; idzie więc za nim w ciągu dwóch godzin. Po upływie tego czasu spostrzega ranionego m'palaha na odległość 200 metrów i poznaje go po nieprawidłowych rogach; po strzale zwierz pada w ogniu. Przybywszy do zabitej antylopy, znajduję na miejscu drugą, mniejszą, która ma roztrzaskaną głowę tym samym strzałem.

W czasie upalnych godzin dnia robimy partyę bridge'a, a gdy następnie około 4-ej chcemy wyruszyć na polowanie, silna burza z huraganem i deszczem staje nam na przeszkodzie.

30 sierpnia. W południe wraca Guy z polowania, przynosząc koba, m'palaha, dwa dik-diki, steinbucka, babuina, trzy rock-rabits *(Hyrax)* — co wszystko razem czyni bardzo urozmaicony rozkład.

Przez ten czas obserwowałam z namiotu trzy hipopotamy, pływające w pobliżu brzegu. Massai utrzymuje, że jednego z nich możnaby strzelić, wlazłszy nieco w wodę. Guy włazi do wody aż po pas, mimo krokodyle, które w Baringo mają bardzo złą sławę: strzela na 200 metrów i chybia. Wracamy, aby zabrać łódkę, lecz ponieważ hipopotam nie ukazał się więcej, zostajemy na śniadanie.

Widziałam dziś rano ogromne stado jakichś białych ptaków, ale nie było komu strzelać do nich.

Kimani powraca z pocztą do Laikipii, ale na nieszczęście bez misyonarza, który cierpi jeszcze za wiele, aby mógł podróżować. P. Archer przysyła nam numer „Fielda" z 15 lipca, w którym opisane jest jedno z jego polowań na słonie wraz z p. Chapmanem, w okolicach Njempsu: siedm kul małokalibrowych w głowę wielkiego pojedynka bez żadnego rezultatu! Guy strzela do krokodylów i rani jednego z nich ciężko, pragnie jednak, aby Henryk go dobił, co daje możność wielkiemu jaszczurowi dowlec się do wody i zniknąć pod jej powierzchnią.

Codzienna burza nadciąga, lecz przy zachodzie słońca pogoda się wyjaśnia, jezioro przybiera barwę błękitną, a góry stają się pięknie fioletowe. Na nieszczęście trwa to niedługo, gdyż noc zapada szybko.

31 sierpnia. O świcie jakiś hipopotam zjawia się w trzcinach, mając wody ledwie po kolana. Guy stara się zbliżyć do niego z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, lecz gruboskór znika, zanim dojść można do strzału.

Ja wraz z Henrykiem wyruszamy o godzinie 8-ej w towarzystwie karawany. Droga prowadzi w niewielkiej odległości od jeziora po terenie piaszczystym, na którym rośnie wysoka trawa wśród olbrzymich głazów wulkanicznych. Wszędzie widać liczne ścieżki hipopotamów. Spotykamy się z Guy'em, który śledzi wielkie stado kobów i antylop Granta. Rozbijamy naprędce namiot, aby mieć nieco cieniu na czas śniadania, na które podają nam pieczeń z phacochera i hyrax'a, obie bardzo smaczne. Hassani zabija mi dwa ptaki, towarzyszące stale bydłu rogatemu.

Po śniadaniu zabieram się do naszkicowania bardzo oryginalnego gniazda termitowego, mając przed sobą w niewielkiej odległości zebry, antylopy Granta, koby, ciągnące nieskończenie sznurami do jeziora. Po zaspokojeniu pragnienia, zbijają się na noc w zbite kupy wpośród równiny. Dwa dropie kręcą się wkoło mnie, lecz nie mam przy sobie swego małego karabinka z fabryki St. Etienne. Guy powraca, spotkawszy świeży trop lwa. Na zanętę powiesił zabitego przez się m'palaha.

1 września. O świcie idziemy z Guy'em sprawdzić, czy hipopotamy nie wyszły na ląd, poczem mąż mój udaje się do rzadkiego lasu mimozowego, który okala równinę ku wschodowi, aż do podnóża gór. Ja zaś z Henrykiem zwijam obóz, aby go przewieźć do stóp niewielkiego wzgórza, wskazanego nam przez p. Archera, na północo-wschód od jeziora.

W oczekiwaniu Guy'a zabijam dwa pierwsze ptaki z mego małego karabinka. Jednym z nich jest piękna czapla purpurowa. Ten debiut napawa mnie radością, jak Guy'a pierwsze polowanie na lwa. Mąż mój powraca zachwycony: z antylopy pozostały tylko niektóre kości szczękowe. Lew był tylko jeden. Uniósł on zdobycz o kilkaset metrów, a tam dopiero przyłączyły się do niego trzy inne, lecz widocznie za mało im było tej jednej antylopy, gdyż rozpoczęły polowanie na własną rękę. Ponieważ grunt w tem miejscu był twardy, a tropienie wskutek tego bardzo trudne, Guy zdecydował się iść za temi trzema lwami, pomimo, iż ten pojedyńczy zdawał się być nieco większy. Po $3^{1}/_{4}$-godzinnem tropieniu nasi myśliwi tracą ślady przy niewielkiej kałuży wody, gdzie lwy przyszły ugasić pragnienie. Ziemia w tem miejscu jest tak sucha, jakgdyby deszcz nie padał przez pół roku. Ani sposobu odnaleźć tropy, pomimo zdolności i starań trzech przewodników, a mianowicie: Massaï, N'Dorobo, wskazanych przez p. Archera, a nadto jednego N'jempsa, który nam zaofiarował swoje usługi. Wszyscy trzej są tropicielami nieporównanymi.

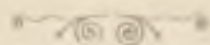
Guy zdecydował się wtedy wrócić do obozu, lecz po drodze zaszedł do zebry, którą tegoż ranka zabił. Jakaż była jego wściekłość, gdy zastał przy niej „ucztujących" czterech Kamasiasów. W złości często je ich uderzeniami nóg „w pewne miejsce" i rozbraja dwóch, gdy dwaj inni oddalają się, grożąc swemi strzałami; wtedy Guy bierze ich na cel, co ich nareszcie zmusza do ucieczki. Pozostałym dwóm rozkazano zabrać resztki zebry i przyprowadzono do obozu. Tutaj mąż mój konfiskuje im łuk, kołczan i trzydzieści strzał zatrutych, a następnie puszcza ich, radząc nie rozpoczynać na nowo tej sztuczki.

Zjadłszy śniadanie, Guy idzie przygotować zasadzkę na lwa. Miejsce, wybrane na ten cel, znajduje się o 20 minut drogi od obozu. Udaję się tam również aby przyjrzeć się przygotowaniom „bomy" (zeriby — *Przyp. tłóm.*) z kolczastych gałęzi, którą oparto jedną stroną o krzak mimozy.

Zabita w przeddzień antylopa, zawieszoną została na drzewie w nieznacznej odległości. Dzień cały pozostawała pod przykryciem z trawy, na której położono tradycyonalną, białą chusteczkę. Trzeba bowiem wiedzieć, że sępy nie tykają protegowanych przez biały

sztandar. Wracam już nocą do obozu, spotykając po drodze mnóstwo antylop Granta, phacocherów etc.

(C. d. n.)



Józef hr. Potocki.

Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu.

CEJLON.

(*Ciąg dalszy*).

21 lutego. Wczoraj wieczorem emocya zapanowała w obozie, gdy pierwszy posłaniec wpadł z listem do mnie z pobliskiej miejscowości, Iala zwanej. Sam się zdziwiłem, co to być może. Przybiegł Soult i cała kompania naszych Syngalezów z ciekawą Ayą na czele, aby się dowiedzieć, kto do „Sahiba" w tym zapadłym kącie Cejlonu pisemne mógł przesłać relacye.

List był od lorda Cairns'a, Anglika, który obozował z myśliwskim taborem opodal w Iali, a dowiedziawszy się o naszej wyprawie, pragnął się ze mną skomunikować względem dalszych naszych zamiarów; podawał dalszą swą marszrutę i prosił o moją, by sobie wzajemnie nie psuć rewirów i polowania. Proponował mi zatrzymanie kierunku ku północy wzdłuż wybrzeża morskiego, a sam zamierzał na południe się zwrócić i zająć miejsce naszego dzisiejszego obozu w Butawie.

Licowało to zupełnie z memi projektami, gdyż właśnie dziś mieliśmy tabor w Butawie zwinąć i do Iali na noc się posunąć, lecz Soult i cały zastęp naszych tropicieli i myśliwych upatrywali w propozycyi Anglika ukryty zamiar wyrugowania nas z Butawy, celem zajęcia obfitych w zwierzynę rewirów okolicznych, i poczęli na mnie nalegać jedynie par esprit de contradiction, by koniecznie dzień lub dwa dłużej w Butawie pozostać. Uległem ich namowom, a szczególnie prośbom Soulta, i odpisałem do lorda, dziękując za komunikat, że, dopiero co tu przybywszy, dłużej w Butawie zabawić pragniemy.

Nie na dobrze nam jednak wyszła ta zmiana programu, gdyż dzień dzisiejszy znowu minął bezowocnie.

Rankiem wyruszyłem z obozu ze zwykłą świtą tropicieli i kulisów, pod wodzą Soulta, i niebawem natrafiliśmy na pasącą się na otwartej halawie leśnej, dużą bawolicę z młodem. Gdy je podchodzić zacząłem krajem gąszczu, wypadł przedemną z klombu akacyi ogromny jeleń sambur z rozłożystemi rogami; ulegając pokusie zdobycia ładnego trofeum, poświęciłem bawoły i strzeliłem do sambura. Strzał miałem niewygodny, w zad zwierzęcia, i dym mnie zaszedł, odbierając możność posłania drugiej kuli. Jeleń skręcił i znikł w gąszczu, lecz obfita farba świadczyła, że kula nie chybiła celu.

Rozpoczęło się mozolne szukanie postrzałka. Z początku farba lała się obficie, i przedzierając się za śladem w zwartym, jak ściana, gąszczu, doszliśmy do leżącego w kałuży farby, zwierzęcia. Pomknął jednak o krok przed nami i dalej ruszył.

Chodzenie za postrzałkiem w dżungli cejlońskiej, równie jak i w indyjskiej, jest niesłychanie trudnem i rzadko się kończy dodatnim rezultatem, chyba, że zwierz legnie tuż obok miejsca postrzału. Raz zboczywszy ze słoniowych traktów i zwyczajnych ścieżek,—choć leź na czworakach. Dżungla jest tak straszliwie gęsta, zbita w taką ciemną masę nierozerwalnie pokręconej i kolczastej roślinności, że nawet wprawni krajowcy z trudnością i niechętnie dają się namówić do długiego śledzenia postrzałka. Farba szybko na ranie zasycha i po pierwszej półmili zazwyczaj ustaje.

Jeleń tymczasem wciąż przed nami się posuwał; słyszeliśmy go kilkakrotnie, lecz zoczyć nie zdołali.

Przeraźliwy kwik jakiegoś mniejszego zwierzęcia prawdopodobnie warchlaka, oderwał nas na chwilę od tropu jelenia. Podbiegliśmy, zkąd głos dochodził, lecz za późno przybyli na miejsce zbrodni; jeden tylko z biegnących przodem Syngalezów, ujrzał umykającego w gęstwinie lamparta z warchlakiem w pysku.

Takich krwawych dramatów rozgrywają się tysiące codziennie w tajemniczem łonie dżungli. Zacięta walka o byt i prawo silniejszego stanowią i w tym świecie zwierząt różnorodnych, główne aksyomaty egzystencyi. Jeden żyje z drugiego, mocniejszy czyha na słabszego, i tak idzie od góry aż do dołu po całej skali niezliczonego szeregu stworzeń żyjących.

Tylko jeden słoń, jak istny monarcha tych leśnych przestworzy i ich mieszkańców, kroczy poważnie przez obszary, na nikogo nie nastaje i nikt jego zaczepić się nie ośmiela.

Lecz wróćmy do jelenia. Po trzygodzinnem, daremnem i nader męczącem śledzeniu, wolałem się zwrócić ku obozowi, zostawiając Soulta i kilku kulisów, celem dalszych poszukiwań.

Puściłem się z powrotem z Ferekiem i Maulanem, który miał mnie prowadzić. Lecz niebawem zauważyłem, że drogę zmylił i kręci ścieżkami, nie odchadząc od miejsca. Kilka godzin stary niedołęga wodził mnie po dżungli, nim Ferek wpadł na koncept wdrapania się na drzewo wysokie, by z punktu dominującego nad niską dżunglą, niby z obserwatoryum się rozpatrzeć, jaki kierunek drogi wybrać nam wypada.

Kierunek wiatru w wypadkach zbłądzenia w tej okolicy pomocnym być może, bo wiatr ciągnie niemal zawsze od morza, a tem samem służy jako wskazówka, gdzie się brzeg morski znajduje. Nie widziałem kniei, w którejby myśliwy więcej na wiatr zważać musiał, niż tutaj, szczególnie polując na słonie. Traker nieustannie bada jego kierunek, puszczając z ręki szczyptę drobnego piasku, czułego na najlżejszy podmuch wietrzyka.

Dobiliśmy się do jakiegoś piaszczystego koryta napół wyschłej rzeki i kombinując, że ona ku morzu płynąć musi, a zatem w końcu doprowadzi nas w stronę Butawy, postanowiliśmy więc trzymać się jej kierunku.

Natrafiliśmy w tych peregrynacyach na wylegiwającego się w słońcu nad brzegiem jeziorka, alligatora kolosalnych rozmiarów; nie miałem wogóle wyobrażenia, że takie monstra egzystują. Grube jego cielsko czerniało, jak zgniła kłoda potężnego drzewa; ogromny łeb był zakończony spiczastą paszczą potwornych rozmiarów, a gdy dźwignął się na nogi, aby do wody umknąć, wysoki się stał, jak jałówka. Nie mając strzelby pod ręką, straciłem sposobność strzału do tego smoka o kształtach, jakby z przedpotopowej epoki, o którego krewniaku afrykańskim tak trafnie wyraził się Sienkiewicz, że uosabiać się zdaje plugawe i ślepe okrucieństwo.

Słońce miało się już ku zachodowi, gdy dowlokłem się nareszcie do obozu, tak okropnie zziajany i znużony, jak nigdy przedtem, ani potem w ciągu całej wyprawy.

Dziś czwarty dzień jej mija, a ze słoniem dotąd na strzał się nie spotkałem. Mimowolnie przychodzą mi na myśl tygrysie zawody w Indyach i ujemny pod tym względem rezultat indyjskich mych łowów. Pocieszam się jednak myślą, że kiedy w Indyach tylko jeden tygrys w ciągu całego polowania do miotu nam

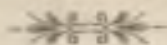
się nawinął, tutaj jesteśmy w środku najlepszych rewirów i mnogie ślady gruboskórców świadczą o znacznej ich ilości.

Trudno przeprowadzić paralelę między dżunglą cejlońską a indyjską ze stanowiska terenu dla myśliwego; wszystko niemal zależy od okoliczności, tej lub owej wyprawie towarzyszących.

Indyjska dżungla, rozsiana po całym obszarze ogromnego kontynentu, stosownie do regionów, w których się znajduje, tak jest różnorodna, i pod względem ilości i jakości zwierzyny tak rozmaita, że się nie daje zgeneralizować ogólnemi wyrazami tych lub owych przymiotów. Różnorodność zwierza w Indyach jest niezaprzeczenie większa, fauna wogóle bogatsza i najlepsze rewiry Hindostanu pozostawiają daleko za sobą dżunglę cejlońską. Zważywszy jednak trudność dostania się do nich, wolę być na Cejlonie w sercu najlepszych na wyspie rewirów, niż w ogromnych obszarach indyjskich, gdzie zwierz przerzedzony i urządzenie polowania od wielu warunków, niezawisłych od myśliwego, zależy.

Soult powrócił bez jelenia, który przepadł, jak wogóle ginie dziewięć dziesiątych postrzałków w tych strefach.

(*C. d. n.*)



Polowanie na wydry.

(*Dokończenie*).

Opisałem, o ile mogłem szczegółowo, polowanie na wydry z psami gończemi, gdyż jestto jedyny sposób, mogący dać poważne rezultaty, a u nas jeszcze niepraktykowany. Pozatem na wydry polować można jedynie z zasadzki, czatując na nie w księżycowe noce w miejscach, w których muszą wychodzić na ląd, np. przy groblach, suchych brodach i t. p., albo też w zimie w takich miejscach, które one zwykły przechodzić po lodzie. Takie jednak zasadzki rzadko bywają wieńczone pomyślnym rezultatem i nie mają żadnego interesu sportowego.

Różne pułapki i sidła także nie wiele pomagają do tępienia tego szkodnika, gdyż, zwiedzając takie wody, w których znajduje dostateczne pożywienie, nie potrzebuje on łakomić się na sztuczne przynęty, a oprócz tego wyborne zmysły i wrodzona ostrożność chronią go od niebezpieczeństwa. W północnej Francyi np. tamtejsi sidlarze, bardzo pomysłowi i doświadczeni, łowią rocznie po jednej lub dwie wydry na osobę.

W dzikich wodach, rzekach i strumieniach, szkody, zrządzone przez wydry, nie są, być może, bardzo dotkliwe, ale w porządnie zarybionych gospodarstwach stanowią one poważną rubrykę. Drapieżne to zwierzę, tak jak i inne kunowate, do których jest bardzo zbliżone budową, uprawia mord dla mordu, nie zadawalając się rzeczywistą potrzebą. Znajdując w zarybionych stawach i sadzawkach niezwykłą obfitość pokarmu, wydra puszcza wodze swym krwiożerczym instynktom, morduje wszystko, co może pochwycić, a na pokarm używa tylko najbardziej mięsistych części grzbietu, rzucając resztę. Obecnie, kiedy prawidłowa hodowla ryb coraz pomyślniej rozwija się w kraju naszym, tembardziej daje się czuć potrzeba tępienia tego tajemniczego nieprzyjaciela, którego obecność odkrywamy dopiero po dokonaniu zniszczenia.

Na zakończenie przytoczę jeszcze sposób, użyty przy polowaniu z zasadzki przez jednego, znanego mi niegdyś szlachcica zagonowego z okolic Siedlec. Był to typowy myśliwy-przemysłowiec: w lot i w biegu nie strzelał nigdy, ale za to był mistrzem w śledzeniu i podchodzeniu różnej zwierzyny. Posiadał on wrodzony, niezwykły dar obserwacyjny, rozwinięty jeszcze przez ciągłą praktykę, to też znał wybornie obyczaje tych zwierząt i ptaków, na które mógł polować. Znakomicie śledził kuny leśne i tchórze; wypatrywał w kotlinie zające, podchodził tak ostrożne ptaki, jak gołębie-siwaki i grzywacze, albo cietrzewie na toku. Otóż ów jegomość, włócząc się raz zimową porą po łąkach nad rzeczką Muchawką, w nadziei znalezienia tropów tchórza, spostrzegł na brzegu rzeczki odciski łap, opatrzonych płetwami. Choć przedtem na wydry nigdy nie polował, nie trudno mu było domyśleć się, jakiego zwierzęcia trop znalazł. Wiedział także, iż skóra wydry jest nierównie więcej warta od skórki tchórza, a pewność ta, w połączeniu z pobudzoną skłonnością do obserwacyi, skłoniły go do porzucenia myśli o tchórzach, a zajęcia się śledzeniem nowej, cenniejszej zwierzyny. Trop szedł to brzegiem rzeczki, to po lodzie, aż do oparzeliska, to jest do miejsca, w którem woda przy brzegu nie była zamarznięta, i tam ginął; o paręset kroków dalej, przy podobnem oparzelisku, ukazywał się jednak znowu. Na trzech czy czterech wiorstach, które nasz szlachcic przeszedł za tropem, powtarzało się to kilkanaście razy, widocznem więc było, że wydra część drogi odbywała pod lodem.

Przez cały czas tropienia szlachcic rozmyślał nad sposobami zdobycia cennej skóry i doszedł do wniosku, że zabić wydrę można tylko w pewnej odległości od oparzeliska, ażeby raniona, nie zdążyła wskoczyć do wody i zginąć pod lodem. Nie znał on koczowniczych obyczajów wydry i przypuszczał, że zwierzę to trzyma się pewnej miejscowości i co noc robi też same wędrówki. Chodziło więc tylko o wynalezienie odpowiednio zakrytego miejsca na zasadzkę i skorzystanie ze zbliżającej się, pogodnej, księżycowej nocy. Ale na tym punkcie właśnie myśliwiec nasz spotkał niepokonaną trudność; na całej, dostępnej dla niego, części łąk muchawieckich, nie było w bliskości brzegu rzeczki ani jednego krzaczka, a stogi siana stały także opodal; urządzenie zaś sztucznego zakrycia nie zdawało mu się praktycznem ze względu, że wydra, znająca dobrze, jak przypuszczał, miejscowość, zrazi się widokiem gałęzi tam, gdzie ich poprzednio nie było. Jedynem miejscem, dającem możność niezłego ukrycia się, był otwór mostu kolejowego na Muchawce. Tam można było zasiąść w cieniu przyczółków, po za łoziną, rosnącą na skarpach nasypu. Lecz, niestety, tę część drogi wydra przebywała pod lodem. Zanurzyła się ona o jakie 40 kroków przed mostem, a wyszła z pod lodu jeszcze dalej po drugiej stronie. Strzelać w nocy na taki dystans do zwierzęcia z dużą siłą żywotną, byłoby próżną stratą naboju.

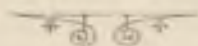
Na tych badaniach i rozmyślaniach czas zeszedł do wieczora; ściemniało się i trzeba było wracać do domu, nic nie postanowiwszy. Ale kiedy raz już w głowie szlachcica podlaskiego wylęgła się myśl zabicia wydry i zdobycia kilkunastu rubli za skórkę, nie mogły jej ztamtąd wyparować żadne trudności i niepowodzenia. To też rozmyślał i kombinował dopóty, dopóki nie wynalazł sposobu, który osądził jako jedyny praktyczny w danym razie.

Zaraz nazajutrz udał się on, uzbrojony w siekierę, pod most kolejowy. Tam przerąbał w lodzie, pod samym mostem, wąską szparę w poprzek rzeczki i ponawtykał w nią gęsto dość mocne pręty, tak długie, że końcami poutykały w dno. Kiedy woda w szparze na nowo zamarzła i tym sposobem utwierdziła pręty w ich położeniu, poobcinał górne końce równo z lodem, uprzątnął starannie wszelkie ślady swej gospodarki i umiejętnie pokrył to miejsce cienką warstwą śniegu. Przypuszczał on, że wydra, znalazłszy drogę pod lodem zamkniętą, będzie musiała przebyć ją po lodzie i da mu sposobność do pewnego strzału. Niepokoiło go tylko, że, oprócz wczorajszych, nie znalazł nowych tropów, a spodziewał się

znaleźć powrotne. Wieczorem zasiadł jednak pod mostem, pełen otuchy i nadziei. Widocznie bogini Dyana zaopiekowała się szlachcicem, bo po paru godzinach oczekiwania spostrzegł nareszcie wydrę nad oparzeliskiem przed mostem, która też zaraz znurkowała. Nastąpiła chwila wytężonego oczekiwania i niepewności: czy też zwierzę, zrażone przeszkodą, zechce przebyć tę część drogi po lodzie, czy też wróci tam, zkąd przyszło. Oczekiwanie trwało niedługo; wydra ukazała się znów nad oparzeliskiem, rozglądała się i węszyła przez parę minut, wreszcie, niespostrzegając widocznie niebezpieczeństwa, puściła się w susach pod most Nie dobiegłszy jednak do niego, padła nieżywa od celnego strzału uszczęśliwionego myśliwca. Był to stary, duży samiec, z bardzo ładnem futrem.

Zachęcony powodzeniem szlachcic, zaczajał się w tem miejscu jeszcze kilka razy i zabił tej samej zimy jeszcze dwie, ale już mniejsze wydry.

A. Sztolcman.



DZIEŁO SCHILLINGSA
o zwierzynie na wolności.

(*Streszczenie*).

II Fotografie momentalne żywej zwierzyny

Dotychczas nikt prawie nie dokonał zdjęcia fotograficznego z żywych zwierząt dzikich; wyjątek stanowią niektóre udatne zdjęcia zwierzyny amerykańskiej (książka „*Camera Shots at Big Game*“ A. G. Wallihana zawiera zdjęcia kilku gatunków jeleni, oraz pum, lecz stanowionych przez psy, i niedźwiedzi, schwytanych w żelaza; udało się to również nielicznym Anglikom.

Reszta — to zdjęcia, dokonane w zwierzyńcach i ogrodzonych rewirach przy zastosowaniu sztucznej dekoracyi, oraz odpowiedniego retuszowania. Artyści-malarze nietylko nie mają sposobności studyowania aktów żywej zwierzyny na wolności, lecz muszą się jeszcze uciekać do okazów muzealnych, po większej części źle preparowanych; nieliczne tylko wyjątki z pośród artystów doznają szczęścia tego, że osobiście obserwują zwierzynę na wolności.

To też literatura zoologiczna i dzieła podróżników mają często ilustracye, które budzą śmiech w znawcy zwierzyny. Są tam uwiecznione zwierzęta wypchane, i co gorsze, całe grupy wypchanych zwierząt, rzekomo na wolności będących. Wprowadza to tylko w błąd czytelnika i daje mu fałszywe pojęcie o rzeczywistości.

Są opisy podróży, których autorowie wszystko czerpią z fantazyi. Jeden opowiada, że w Afryce zachodniej spotykał codziennie tyle słoni, że musiał ich trzebić fuzyą, żeby torować sobie śród nich drogę; inny znowu w Afryce środkowej ciskał kamieniami w słonie, żeby ustąpiły miejsca karawanie. Scena ta jest nawet narysowana w jakiemś dziełku angielskiem. Tacy pisarze spotykają ciągle na odległość strzału słonie, lwy i nosorożce.

Prezydent, Teodor Roosevelt słusznie pisze we wstępie do dzieła Wallihana „*Camera Shots at Big Game*“, że to niesłychanie śmieszne, gdy ludzie, którzy sami nie doznali trudności uciążliwych polowań, ozdabiają swe gabinety rzadkiemi trofeami.

Nieraz podróżny zastrzeli lwa, ale takiego, którego złapano przedtem w pułapkę. Do szyku zaś należy w takim razie nie przyznawać się do prawdy, lecz opowiadać historye o rzekomem ubiciu lwa na wolności. Gdyby zaś poważnie traktowali sprawę, myśleliby raczej o wyciągnięciu istotnej korzyści z podróży, gromadząc przynajmniej szereg fotografij, które mają naukową wartość biologiczną, tembardziej, że nietylko zwierząt egzotycznych, lecz nawet krajowych zwierząt na wolności nie mamy wiernych odbitek ze zdjęć momentalnych.

Jakieś pismo ilustrowane dało sensacyjny widok, „zdjęty z natury“, napadu lwa na zebrę w Afryce wschodniej; tymczasem gatunek zebry, przedstawiony na obrazie, nigdy się nie zjawia w tej strefie... Inne pismo dało scenę myśliwską, jak grupa strzelców w Afryce stoi nad ubitym lampartem; jednocześnie jednak prawie ukazał się w innem piśmie zupełnie ten sam obraz z „drobną“ zmianą: zamiast martwego, umieszczono żywego lamparta, groźnie wyszczerzającego zęby.

Gdy pierwszy raz w r. 1896 miałem sposobność poznać stepy afrykańskie, zapragnąłem uzyskać autentyczne widoki z życia zwierząt na wolności, aby je pokazywać szerszemu ogółowi. Myśli tej uchwyciłem się tem gorliwiej, że okoliczności sprzyjały zamierzonemu przedsięwzięciu i że w tych stronach rzadko kto poluje. W r. 1884 był tam artysta malarz, Richard Bom, który jednak uległ groźnej febrze nad jeziorem Upamba; krótki czas bawił w Kilimandżaro artysta Kuhnert, a pozatem niewiadomo o nikim innym. Lecz artyści-malarze z konieczności muszą się ograniczyć do żmudnych studyów aktów jednostkowych, nie mogąc myśleć o licznych zbiorach różnorodnych. Jedyny sposób stanowi sztuka fotograficzna, aczkolwiek i ona przedstawia nielada trudności.

Z pomocą pośpieszyli mi: przyrodnik Ludwik Heck i znawca fotografii militarnej, Marcin Kiesling; poznałem w ten sposób telefotografię, czyli fotografowanie z odległości. Doświadczenia trwały rok czasu, odbyłem przeto drugą podróż do Afryki podrównikowej, potem znowu miesiącami odbywałem w Europie studya nad fotografią błyskawiczną i przy pomocy słynnych optyków obmyśliliśmy specyalne aparaty, do tego celu służyć mające. Funkcyonowały one całą dobę, nie wyłączając nocy, wskutek czego uzyskałem zdjęcia, przedstawiające także życie nocne zwierząt

Trzeci raz pojechałem w towarzystwie d-ra Kuenstera, z wyprawą, złożoną ze 130 osób. Wyruszyliśmy z nad wybrzeża Tanga Po trzech miesiącach zapadłszy na malaryę i chorobę sercową, musiałem ludzi rozpuścić i powrócić do domu. Wyzdrowiawszy, zabrałem się do dalszych studyów i po raz czwarty wyruszyłem w drogę. Udałem się do dziewiczej krainy „Korromodjo“ nad jeziorem Rudolfa po uzyskaniu pozwolenia rządu angielskiego. Lecz nagle, gdym już był blizko Kilimandżaro, odebrano mi to pozwolenie. Wszystkie moje plany zostały zniweczone.

Rozdział ten zdobią ilustracye z następującemi podpisami: 1) „Ciągnące gęsi nilowe“, 2) „*Odpoczynek w stepie* podczas wycieczki fotograficznej“, 3) „Szybko ustawiliśmy *namiot*, a mój preparator rozdaje „Fundi“ (ludziom) noże do preparowania“, 4) „*Moje fotograficzne przybory* zajmowały sporo miejsca, opakowane w licznych skrzyniach“, 5) „Siła światła potrzebna do zdjęć nocnych, jest bardzo znaczna; rotmistrz Kiesling i ja musieliśmy niejedną próbę wykonać w zakładzie optycznym Goerz'a, zanim osiągnęliśmy rezultat pożądany...“

Dwie osobne karty dodatkowe, ilustracyjne, mają podpisy: 1) „Trzy lwy podkradają się do byka (buhaja), — *lwica*, jak zwykle, rozpoczyna atak, rzuca się na łup, — nagle wybucha światło błyskawiczne i...“ 2) „...gibki kot olbrzymi tak gwałtownie odskoczył że drugi aparat mógł wskazać, jak lew czmychał, nie, skaleczywszy nawet byka“!

J. Kamieniusz.

Polowanie na foki i lisy w Alasce.

Stwierdzono, że stan fok w morzu koło Alaski zmniejsza się znacznie; w r. 1885 ym wynosił około dwóch milionów sztuk, w r. zaś 1905, czyli po 20-tu latach, liczba spadła do 200,000 sztuk. Rząd Stanów Zjednoczonych zajął się przeto podniesieniem stanu tej zwierzyny przez wydanie odpowiednich przepisów, obowiązujących przy wyspach Pribyłowskich. W r. 1904 zabroniono strzelać do młodych fok-samców, których skóra nie przedstawia jeszcze wartości dla handlu futrami. W r. 1905 zarezerwowano dla celów hodowlanych 2,174 młodych fok-samców, a prócz tego podczas polowania z obławą uratowano 7,625 fok-samców, jako nieodpowiadających przepisom pod względem rozrostu. Te środki ochronne miały odrazu taki skutek, że „North-American-Commercial-Company“, właścicielka patentu, dającego prawo polowania na foki na wyspach Pribyłowskich, mogła w ostatnim roku zdobyć więcej o 1,240 sztuk fok, niż w poprzednich latach.

Na tychże wyspach musiano prawnie uregulować polowanie na lisy, w interesie handlu futrami. W r. 1894 ubito na wyspie Wydrowej prawie wszystkie lisy, przez co polowanie przerwane zostało aż do r. 1905. Wskutek tego napłynęły znowu krą liczne lisy i w zimie 1904/5 r. ubito znowu na tej wyspie 31 lisów niebieskich i 2 białe, a na wyspie św. Jerzego 258 niebieskich i 10 białych, wreszcie na wyspie św. Pawła 1 białego. Agenci Towarzystwa starają się o zwiększenie liczby narodzin lisów przez wybór najlepszych zwierząt do celów hodowniczych i przez dostarczanie obfitego pokarmu.

Jako przyczynek do sprawy polowania na foki w Alasce, przytaczamy depeszę, nadesłaną z Nowego Jorku d. 9 sierpnia, która opiewa:

W Waszyngtonie otrzymano zawiadomienie urzędowe o zabiciu przez załogę amerykańskiego okrętu strażniczego 5 Japończyków, zajmujących się bezprawnem polowaniem na foki u wysp Aleuckich. Prócz tego załoga okrętu amerykańskiego aresztowała 12 tu Japończyków. Departament spraw zagranicznych wyraził ubolewanie swoje posłowi japońskiemu z powodu tak ostrego wymiaru kary gwałcicielom prawa. Posłowi zaś amerykańskiemu w Tokio przesłano tekst depeszy prokuratora Stanów Zjednoczonych, znajdującego się obecnie w Alasce dla zbadania sprawy powyższej. Wysyłając tę depeszę, rząd Stanów Zjednoczonych pragnął tylko dostarczyć posłowi swemu danych wiarogodnych o zajściu, a bynajmniej nie uniewinniać się i przepraszać w dalszym ciągu rządu japońskiego, zabici bowiem Japończycy, polując na wodach przybrzeżnych, pogwałcili prawo cudzej własności.

Kwestya połowu fok na morzu Behringa dała już raz powód do zatargu między St. Zjednoczonemi a Anglią, który został załatwiony przez sąd rozjemczy w Paryżu. Sąd wydał wyrok, mający na celu zabezpieczenie fok od grożącej im zagłady. Niedawno jeszcze St. Zjednoczone pertraktowały z Anglią o zawarcie układu, mocą którego Amerykanie nabyliby flotę kanadyjską do połowu fok, jednocześnie zaś W. Brytania, Kanada i St. Zjednoczone przedsięwzięłyby środki konserwacyi tych zwierząt. Komisya tych trzech państw ma opracować przepisy odpowiednie i zabronić na przeciąg całego roku połowu fok na wyspach Pribyłowskich.

„Waleczna“ zwierzyna.

Leśnikom znane są walki, jakie jelenie i rogacze staczają pomiędzy sobą na wiosnę. Pojedynki te, wywołane zazdrością o względy samic, skutkiem wielkiej siły zapaśników, kończą się często w sposób tragiczny, i wielu malarzom służyły za temat do wspaniałych obrazów. Ale dla zwykłych widzów zabawniejsze są walki głuszców, a zwłaszcza cietrzewi, toczone bez „rozlewu krwi“, w obłokach wydzieranego obficie pierza walczących przeciwników.

Stworzeń, odbywających pojedynki bez krwi i bez sekundantów, znajdziemy sporo w świecie zwierzęcym. Nawet symbol tchórzliwości, płochliwy zając, wyzywa drugiego samca na pojedynek. A widok takiego pojedynku jest niezmiernie zabawny, bo walczący wysilają się na jaknajwyższe skoki; gdy jednemu uda się przeskoczyć przeciwnika, ma wtedy sposobność wymierzyć mu tylnemi łapkami policzek, dla stwierdzenia swej przewagi.

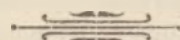
Nawet zwierzęta, obdarzone tak grubą skórą, że do przecięcia jej potrzeba potężnego ostrza, walczą z sobą. Zdarzyło to się niedawno w cyrku Sangera w Londynie. Słoń nazwany „Karolkiem“, jest tak drażliwy na punkcie miłości własnej, że zabił już raz swego dozorcę za to, że mu ubliżał w dokuczliwy sposób. W początku marca ubiegłego roku „Karolek“ urządził nową scenę—tym razem z zazdrości. Właściciel cyrku nabył drugiego słonia, noszącego romantyczne imię „Edgarda“, który jednak nie okazywał się skłonnym do uległości. Podczas pobytu w cyrku w Wimbledon, „Edgard“ wyrwał się na wolność, przepłynął rzekę, i dopiero po zaciekłym pościgu został schwytany o dwa kilometry za miastem. Dla zapobieżenia w przyszłości podobnym wypadkom i dla uspokojenia n esfornego, przykuto go do drugiego słonia, samicy „Mary“, która dotąd występowała w cyrku zawsze razem z „Karolkiem“. Kiedy cyrk rozbił swe namioty na jeden tylko dzień w Twickenham, słonie pasły się na polu: w jednem miejscu „Mary“ z „Edgarem“, w drugiem „Karolek“ samotny i ponury. Nagle rozległo się przeraźliwe trąbienie. „Karolek“, trawiony zazdrością, wyrwał się ze swej zagrody i rzucił się na rywala i niewinną, dawną towarzyszkę. Pognał ich przez rzekę, przez gęste zarośla, przewrócił na ziemię, zaczął uderzać z całej siły przypiłowanemi kłami. Sześćdziesięciu ludzi z batami i drągami, po długiej walce dopiero zdołało oderwać „Karolka“ od nieprzyjaciół, potem wrócił spokojnie do stajni. Na szczęście ofiary jego gniewu niewielkie szkody poniosły, dzięki swej grubej skórze. Ale hałas podczas tej walki był przerażający. Dziewięć pozostałych w cyrku słoni trąbiło straszliwie, lwy i lamparty ryczały, — strusie skrzeczały i t. d., co wszystko tworzyło niezwykły koncert.

Spokojny, łagodny kret, pękatej postaci, na niezgrabnych nóżkach, nie nadaje się chyba do wojowniczych występów, a jednak ten maleńki mieszkaniec podziemnych krain, strojny w czarną, aksamitną sukienkę, jest oburzony, gdy powstanie zatarg między nim a jego towarzyszami. Nikt nie zdoła odgadnąć, o co im idzie, ale to pewna, że w bójce nie zbywa walczącym na odwadze. Krety śledzą zbliżanie się przeciwnika: rzucają się na siebie i kąsają, szarpiąc poty ostremi zębami, aż jeden z nich padnie martwy.

Pomiędzy ptakami wyróżniają się swą kłótliwością drozdy; nie zadawalają się na obezwładnieniu przeciwnika, lecz biją go poty dziobem i szponami, dopóki nie legnie bez życia. Na podobieństwo niemieckiego studenta, który, zdrzemnąwszy się w teatrze, zapytuje kolegów, czy kto na niego nie patrzył podczas drzemki, żeby go za to wyzwać na pojedynek,—w wiecznej wojnie ze wszystkiemi, żyje ptak,

zwany przez ornitologów *Machetes pugnax* — batalion, v. bojownik po polsku.

Bez żadnego zrozumiałego powodu — czy samica jest w pobliżu, czy jej niema, na wolności, czy w niewoli — złowiony przed kilku godzinami, czy wychowany w klatce — batalion walczy zawsze i wszędzie. Dwa samce zaczynają od tego, że, stojąc naprzeciw siebie wyprostowane, trzęsą się, kiwają głowami, pochylają się piersiami do ziemi, tylną część korpusu podnosząc wyżej, i godzą w siebie dziobami. Najeżają przytem pióra na piersiach i szyi, nakształt puklerza. Biegają w kółko i przyskakują do siebie, bijąc dziobami, ale dzioby te niewiele szkody przynoszą, bo spadają na głowy, opancerzone mięsistemi wyrostkami, i na szyję, zabezpieczoną pierzem, jak tarczą, a wszystko to robią te ptaki z taką szybkością i z takiem zacietrzewieniem, że ledwie dyszą, trzęsąc się ze wściekłości. Zapasy te odbywają się niezmiennie we dwójkę: nie walczą nigdy większą gromadą, tylko zdarza się, jeżeli zgromadza się w jednem miejscu znaczniejsza liczba, że dwie lub trzy pary, toczą bój kę jednocześnie, każda na własną rękę, a że ich szranki krzyżują się z sobą, odbywa się tam zdumiewająca bieganina w różnych kierunkach i skoki, iż, patrząc na to zdaleka, możnaby myśleć, że wszystkie te ptaki ogarnął obłęd, lub też zły duch je opętał.



Średniowieczne recepty na sporzadzenie prochu.

Jedno z pism niemieckich ogłasza manuskrypt z r. 1563, zawierający następujące przepisy:

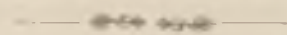
„Proch handlowy, ponieważ żałują dlań saletry, wilgotnieje po upływie 2-ch lub 3-ch lat, dobry zaś trzyma się do sześćdziesięciu. Do wzmocnienia (konfortowania) prochu przyczynia się salmiak, kamfora, arszenik, merkuryusz, „atrament“ i gryneszpan. Dla działa polnego trzeba przygotowywać kartusze, oraz igły do czyszczenia zapału, jeżeli ma z niego strzelać ktoś, niebędący puszkarzem. Żelaznemi krócicami trzeba się często posługiwać, a czyścić dwa razy rocznie. Należy się nauczyć roztapiania saletry (narzucaniem siarki), można dodać także trochę gorzałki, z czego się robi najlepszy proch; oczyszczona saletra nazywa się „saliter“. Są trojakie saletry: Z pola, z twardego kamienia, jak ałun, a nie szkodzi mu deszcz: także z gór i przy murach, oraz z wilgotnych piwnic; ostatni jest najlepszy, polny zaś zupełnie niezdatny. Czyści się saletrę octem, salmiakiem, witryolejem, solą, ałunem, bielą ołowną (blejwas). Dla trującego dymu dodaje się do roztopionej saletry drobne węże, żaby jadowite, pająki, padalce i bazyliszki. Gdy nie mamy tych ostatnich, można je wytworzyć sztucznie w następujący sposób: Kładzie się świeże jaja, namaszczone olejem lnianym, na 14 dni do gnoju owczego; powstają wtedy ztąd robaki, które się wzajemnie pożerają. Ostatniego karmi się krwią ludzką, „którą się puszcza w łaźniach“, albo tylną częścią szczura. Przy karmieniu zawiązujemy sobie nos i usta rutą albo szałwią. Po 14 dniach spalamy go na popiół w dobrze zalutowanej kolbie na wolnem polu. Równie można zamknąć razem dwuletnie kury o ognisto-czerwonych oczach, aż się połączą w pary; jaja dajemy do wylęgania wielkiej ropusze. — Saletra jest czysta, gdy się nie zwija, kiedy do niej przytykamy węgiel żarzący, i nie wydaje nieczystości; gdy wreszcie jest sucha w dotknięciu. Saletra pochodzi częściowo z Wenecyi, częściowo jest krajową saletrą ścienną. Do siarki, która również pochodzi z Wenecyi, dodaje się trochę rtęci. Najlepszy węgiel jest z płótna wymytego, a następnie ze zgniłego drzewa. Do niedobrego bierze się olchy, wierzby, odrzuca gałęzie i umacza najpierw drzewo w occie. Substancye się przesiewa, miesza w skrzyni i tłucze mokro w moździerzu z bronzu. Zwilża się „uryną mężczyzny, który pije wino“. Gotową masę, albo rozkrajamy nożem na kawały, albo ręką robimy kulki, albo sitkiem — ziarna. Suszy się w słońcu, zimą w ciepłej izbie. Proch, mający się palić na deszczu, mieszamy z wapnem. Przeciw opancerzonym, którzy pierwsi są odkomenderowani do szturmu, trzyma się drzewce z roztopionym materyałem, jako kule śmierdzące (zmieszane także z arszenikiem). Rzuca się brantkule ręczne i z procy. Wszystkie te ciała ogniowe są bardzo artystycznie wykonywane. Do wielu wtapia się w ich kompozycyę: cykutę, asafetydę, czosnek, lulek. Przy strzelaniu uczą wiele kunsztyków“!

Manuskrypt opisuje dalej coś podobnego do rakiety, układ nie posiada borowania. Ażeby zamki podpalić, przywiązuje się kotom lub gołębiom strzałę ognistą. Kartacze to drobne kamienie, wpuszczane do strzelby z drzewa bukowego; strzelba ma żelazne obręcze.

Manuskrypt zna strzał rulowy, bomba robi się z kamienia i żelaza, ale jest przeznaczona tylko „do napełniania materyałami śmierdzącemi, dymiącemi“ i t. d. Podane są liczne środki przeciw ogniowi trującemu. Ognia trującego używać się powinno „tylko przeciw niewiernym i wrogom Boga“.

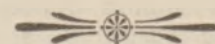
Inny manuskrypt, nieco późniejszy, z r. 1597, daje następujący przepis na *proch trujący*: „Weź salamandrę i robaka, te dwa robaki kładź żywe razem do nowego garnka, zalep go dobrze i spal je na proch, mieszaj go wtedy z innym dobrym prochem, naładuj nim, a gdy strzelisz, to rozlegnie się strzał jęczący, że każdego człowieka przerazi“.

O.



Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Przypominamy, że polowe konkursy wyżłów odbędą się w d. 7 b. m. Zapisy przyjmuje Kancelarya Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Tow. praw. myśl. (Nowy Świat 35) do d. 6-go września włącznie. Prawidła konkursów podaliśmy w Nr. 15 „Łowca Polskiego“. O godzinie dostarczenia psów na pole prób w Służowcu poinformować się należy w Kancelaryi Towarzystwa.



Drobiazgi myśliwskie.

Obostrzenia. Czasowy generał gubernator wojenny piotrkowski wydał rozporządzenie, aby strzelanie w towarzystwach strzeleckich odbywało się pod dozorem policyi i aby o każdej takiej zabawie donoszono mu w czasie właściwym.

O stowarzyszenia strzeleckie. Z powodu nowego projektu prawa o stowarzyszeniach, pisze jedna z gazet: „Niepodobna również uznać za słuszną obawy departamentu, że, w razie zatwierdzenia projektu, powstaną „niebezpieczne dla państwa“ stowarzyszenia strzeleckie. Powszechna służba wojskowa lepiej od wszelkich związków nauczyła ludność władać bronią. Tego już odrobić się nie da. Utrudnienia zaś i ograniczenia w zawiązywaniu bractw strzeleckich doprowadziłyby tylko do tego, że, odpowiednio do miejsca i okoliczności, Niemcom lub Tatarom pozwalanoby je zakładać, a Polakom lub Ormianom nie pozwalano. A tymczasem tylko równouprawnienie całkowite może zapobiedz waśniom narodowym.

Niefortunny myśliwy. W kolonii Słupy, w pow.

nieszawskim, syn włościanina miejscowego, Jakób Kowalski, 16 lat, pod nieobecność ojca, zaczął ze starego pistoletu strzelać do gołębi. Przy drugim strzale niespodziewanie nawinął mu się pod lufę 13-letni jego brat, Ignacy, który dostał cały nabój w brzuch i padł trupem na miejscu.

Łasice w Opatowskiem. Gazety warszawskie podały wiadomość, że w początkach sierpnia r. bież. w wiosce Zwoli, pow. opatowskiego, włościanin M. Radłowski, stoczył krwawą walkę, grożącą mu śmiercią, z 20—30 tchórzami. Wspomniany wieśniak około godz. 9-ej zrana udał się w pole dla rozrzucenia nawozu. Wtem, wędrujące miedzą, w liczbie około 30, tchórze, prawdopodobnie zaczepione przez Radłowskiego, rzuciły się na niego z wściekłością. Pomimo rozpaczliwych wysiłków, nie mógł ich odpędzić, dopiero na nawoływania jego przyszli mu z pomocą w pobliżu pracujący dwaj parobcy, którzy widłami zmusili zwierzątka do ucieczki, przytem dwa z nich zabito.

Otóż nie ulega wątpliwości, że zwierzątkami owemi nie były tchórze, lecz łasice, gdyż tchórze nigdy nie trzymają się stadkami, z 20 lub 30 sztuk złożonemi. Z drugiej strony opisany powyżej epizod przypomina wypadek, jaki zdarzył się przed laty w Szkocyi, o czem p. Sztoleman wspomniał w artykule swym „Przegląd krajowych ssaków łownych“.

Z gub. wileńskiej. Gubernator wileński dał przychylną odpowiedź na starania Wileńskiego Towarzystwa Myśliwskiego w sprawie wydania bezpośrednio zarządowi Towarzystwa świadectw imiennych na rok bieżący, dających prawo każdemu członkowi nabywania niezbędnych w myślistwie przyborów, jako to: prochu, nabojów i t. p., pod warunkiem, aby świadectwa te służyły tylko członkom Towarzystwa i na przeciąg nie dłuższy, niż roku.

— Wobec wiadomości, że w niektórych okolicach pow. wileńskiego i lidzkiego wilki wyrządziły szkody trzodom włościańskim, Wileńskie Towarzystwo Myśliwskie powzięło zamiar urządzenia we wrześniu kilku obław na wilki, w celu wytępienia t. zw. „gniazd wilczych“.

Dzicy myśliwi w Galicyi. Słynny „łowca bawołów“ amerykański „Bufallo Bill“, któremu poświęciliśmy obszerniejszy artykuł w „Łowcu Polskim“ przed pewnym czasem, zwiedzał niedawno główne miasta Galicyi z całą trupą „dzikich“. Z opisów, zamieszczonych w gazetach o tej wizycie, wyjmujemy krótką charakterystykę następującą: „Bufallo Bill zawdzięcza całe swoje przezwisko temu, iż słynnie strzelał bawoły i zabił ich pewnego dnia 69.. Otóż teraz, z ulubionym karabinkiem Winchester, jeździ po arenie i strzela z siodła do kul szklanych, a nie chybia prawie nigdy, mimo lat 60-ciu i mimo galopu konia. Cowboye chwytali konie na lassa i teraz to samo robią na arenie, strzelali do Indyan — i teraz strzelają, z tą małą różnicą, że patrony są ślepe, a zamiast skalpów, okrągła sumka czeka w kasie na jedną i drugą stronę. Inni prowadzili dyliżansy — poprzedniki wagonów pullmanowskich! -, chroniąc je przed Indyanami, i teraz strzelają zapalczywie z okien takiego starego pudła, wobec którego landara na pasach, z pod samego Rypina lub Raciąża, jest najpiękniejszym samochodem na świecie“.

Premia dla myśliwych. Niemiecki związek związków zwolenników gołębi pocztowych wyznaczył na r. 1906 nagrody w sumie 3,500 marek za ubicie lub złowienie sokołów wędrownych, jastrzębi i krogulców-samiczek. Nagrody będą rozdawane w początkach grudnia r. b. w ten sposób: 2,900 m. stosownie do liczby nadesłanych nóg, 600 m. za największą liczbę ubitych ptaków. Kto chce otrzymać nagrodę dodatkową, musi przedstawić dowód, że on sam ubił tyle. Za każdą parę nóg sokołów daje się, prócz tego, premium w postaci 1 marki. Wystarczy nadsyłanie samych nóg do końca listopada pod adresem sekretarza związku, p. W. Doerdelmanna „Hannover-Linden“ franko. Nogi należy odciąć do pierwszego stawu, żeby został mały wianek pierza. Przed przysłaniem należy nogi dobrze wysuszyć. Nadgniłe nogi ulegają spaleniu i nie liczą się. W r. z. nagrodzono 3,199 par nóg (128 par nóg sokołów wędrownych, 1,160 par nóg jastrzębi i 1,911 par nóg krogulców), licząc po 87 fenigów za parę, a za sokole po 1,87 m. Strzelcom, którzy przysyłają przynajmniej 30 par nóg, wypłaca się nagrody w sumie 15 m. conajmniej, a stosownie do liczby nóg, nagroda dochodzi do 35 marek.

Krzyżowanie dzika ze świnią. Leśniczy Perlikiewicz pod Bydgoszczą zauważył, że świnia, którą hodował, raz wieczorem została pokryta przez dzikiego odyńca pod lasem. Po 4 miesiącach miała 13 prosiąt, z których 10 zostało przy życiu. Młode oglądał weterynarz z Witkowa i stwierdził, że 6 z nich ma sierć brunatną z szaremi pręgami, cztery zaś — szarą z popielatemi. Głowa prawie u wszystkich była prostolinijna, długa i śpiczasto wyciągnięta, podczas gdy matka należała do uszlachetnionej rasy i miała głowę skróconą, tępą, przechyloną.

Przygoda, jakich mało. Pisma niemieckie opowiadają o pewnej przygodzie myśliwskiej, która może być prawdziwą. Muzykanci, powracając do domu wozem przez las, zgubili przypadkowo umieszczony na tylnem siedzeniu, bas wielkich rozmiarów. W nocy nie zauważono straty, bas więc pozostał, gdzie upadł. Wczesnym rankiem zjawił się strzelec, który, sądząc, że leżący przedmiot jest jeleniem, palnął do niego z karabinka, a usłyszawszy przeciągły jęk, strzelił raz drugi, tak, że aż bas podskoczył do góry. Z kordelasem w dłoni rzucił się strzelec, ażeby dobić „zwierza“, ku któremu z drugiej strony biegł zrozpaczony właściciel - muzykant!

Polowanie na słonie w Paryżu należy do wydarzeń bądź co bądź niepospolitych. Rzecz działa się na przedmieściu paryskiem, Neuilly, gdzie się znajduje wielki, letni teatr rozmaitości „Printemps“, sąsiadujący z łukiem tryumfalnym „d'Etoile“. Cztery okazałe słonie, które się tam teraz popisują, wyszły w niedzielę po południu ze swych przedziałów i używały najspokojniej przechadzki po ulicach Neuilly. Gdy służba spostrzegła ucieczkę tych olbrzymów, pospieszyła za słoniami, by je ująć. Atoli polowanie bynajmniej nie było łatwem. Trzeba było napędzić słonie do klatek, bez uszkodzenia cennych zwierząt. Słoniom ogromnie przypadła do gustu swoboda. Przerażeni przechodnie ratowali się ucieczką, a mieszkańcy kamienic bawili się, rzucając z okien sympatycznym olbrzymom chleb i owoce. Dopiero po dwóch godzinach obława zakończyła się pomyślnie. Na szczęście nie było przy tem najmniejszego wypadku.

Próby psów i nagrody. Berliński związek próbowania psów myśliwskich postanowił na ostatniem posiedzeniu udzielać na próbach odtąd także kwalifikacyj do nagród. Postanowienie to ma bardzo ważne znaczenie, ponieważ umożliwia wyróżnionym na próbach psom, które jednak nie otrzymały nagrody pieniężnej, wpisywanie do ksiąg rodowodowych. Z powodu bowiem licznego uczestniczenia psów w próbach, częstokroć musiano pomijać doskonałe psy, zasługujące bezwarunkowo na nagrodę, jedynie dlatego, że już zabrakło na ten cel pieniędzy. Psy te, pominięte z tej przyczyny, nie mogły być także wpisywane do ksiąg rodowodowych, co obecnie zostało zniesione.

Bezstronny myśliwy. — Jestem zawsze bezstronny.

— O tak! Widać to nawet na polowaniu: zwykle wszystko ci jedno w kogo trafić — w zająca, czy w psa, czy w którego z towarzyszy polowania.

* * *

U wypychacza zwierząt. — Za wypchanie psa żądasz pan aż 10 rubli, wtedy gdy pańscy konkurenci robią to o połowę taniej?

— To prawda, ale pies, którego panu polecam, za życia odznaczał się wielką zmyślnością i tresurą.

* * *

W menażeryi. — Mamusiu! — woła Dyzio przy klatce niedźwiedzia — dlaczego ten niedźwiedź taki brudny i zakurzony? Czy on już był używany na dywan?..

* * *

Na ulicy. Pani (oglądając pieska do sprzedania):
— A czy tylko wierny ten piesek?
Przekupień. — Za to mogę ręczyć. Sprzedałem go już trzy razy i zawsze wrócił do mnie.

* * *

Wrona i gawron. — Wie pani, że ten fason kapelusza przypomina gniazdo... wronie...
— Ach teraz rozumiem, dlaczego do mnie przyczepia się zawsze jakiś gawron...

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" J. O. (*C. d.*).

Lwica.

1. Lwica kota nie urodzi.

Łabędź.

1. Łatwiej o czarnego łabędzia, niż o białą wronę.
2. Łatwiej o łabędzia białego, niźli o tę rzecz.
3. Lepsze nasze gęsi, niż cudze łabędzie.
4. Z kruka łabędź, drozd z kawki nie wychodzi.
5. Biały, jak łabędź.

Łania.

1. Łania bystra, koniowi nie siostra.
2. Dziewa, kiejby łania.

Łasica.

1. Szanuj bracie łasicę w chacie.
2. Łasi się, jak łasica.
3. Zmęcił się, jak łasica do drobiu.

Łoś.

1. Co łoś to zwierzyna, co kiep, to Puzyna.

Łowca.

1. Na świętego Kazimierza pokój dla łowcy i zwierza.
2. Na Michała (świętego) łowcy chwała.

(*C. d. n.*).

Treść Nr. 17 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „**Łowca Polskiego**" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).
Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.
Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.
Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.
Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:
Smolna 34, w Warszawie

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman. Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.

Nr. 18. Warszawa, d. 16 Września 1906 r. R. VIII

Łowiec Polski

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego:" Warecka 15 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34).

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

We wrześniu wolno polować na: dziki, łosie, jelenie, sarny, zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy, dropie i wszelkie ptactwo przelotne.

Uwaga. Zające do 1 października, a kóz i łań wcale [illegible]

Lunacja we wrześniu.

Nów d. 18 o g. 1 m. 58 pp.
Pierw. kw. d. 25 o g. 7 m. 36 r.

Wschód i Zachód Słońca

we wrześniu

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
16	5	36	6	13
17	5	38	6	10
18	5	30	6	8
19	5	41	6	6
20	5	43	6	4
21	5	45	6	1
22	5	46	5	58
23	5	48	5	56
24	5	50	5	54
25	5	51	5	51
26	5	53	5	49
27	5	55	5	47
28	5	56	5	44
29	5	58	5	4[illegible]
30	6	0	5	40